Profesor z innej epoki

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Starnawski ur. 22 lutego 1922 r., zm. 9 listopada 2012 r.

Wspomnienie w czwartą rocznicę śmierci

Profesor Jerzy Starnawski

Profesor to mój mistrz i nauczyciel. Miał wielki wpływ na to, kim teraz jestem i czym się zajmuję. Był naukowcem o fenomenalnej pamięci, perfekcyjnie opanowanym warsztacie literaturoznawczym i wielkiej miłości do literatury polskiej. Przekazał mi zobowiązanie wobec polskiej kultury.

Można o nim opowiadać anegdoty, bo w realnym życiu był czasami nieobecny, ale jego wkład w badania nad polską literaturą jest ogromny, a ilość napisanych prac niebywała.

Pamiętam mój pierwszy wykład na polonistyce na Uniwersytecie Łódzkim. Prowadził go prof. Jerzy Starnawski – opiekun naszego roku. Podczas wykładu narzekał, że młodzież teraz nie zna greki i łaciny. Zobowiązywał nas, żeby braki licealne nadrabiać, bo jacy z nas będą humaniści, skoro nie znamy języków klasycznych.

Wykładał historię literatury staropolskiej. Naszym podstawowym podręcznikiem miał być tzw. „Chrzan", czyli podręcznik Ignacego Chrzanowskiego „Historia literatury niepodległej Polski (965-1795)". Podręcznik ten mieliśmy uzupełnić nowszymi opracowaniami (Jerzego Ziomka – „Renesans", Czesława Hernasa – „Barok"). Mówił, że wprawdzie podręcznik Chrzanowskiego ma wady, ale został napisany, gdy Polska była pod zaborami, więc niesie ze sobą wielki ładunek emocjonalny i patriotyczny. Wiedzę można zawsze uzupełnić, a miłość do literatury to bagaż na całe życie.

Na egzamin z literatury staropolskiej na pierwszym roku czekałam przed salą egzaminacyjną przez trzy dni. Od rana do wieczora. Profesor był tak dokładny i tak długo każdego przepytywał, że kolejka niewiele się posuwała. A ja bylam dopiero na „s". Co jakiś czas ktoś wychodził i opowiadał jak wyglądał egzamin. Profesor strofował za sformułowania – na bazie czegoś, w oparciu o coś. – To jest język ekonomii, a nie literatury – mówił zdegustowany. – I źle się kojarzy z „bazą i nadbudową" z filozofii marksistowsko-leninowskiej.

Moje odpowiedzi na egzaminie mu się podobały. Czułam, że sprawdzał nie tylko wiedzę, ale i zrozumienie wagi, jaką jest dbanie o polską tradycję literacką. Mimo, że dobrze odpowiadałam, dostałam czwórkę z egzaminu. Na piątkę umie profesor, student najwyżej na czwórkę – to była zasada „Starnaviusa", jak na niego mówiliśmy.

Na wykład nie wolno bylo przyjść z kurtką w ręku, czy w płaszczu, nie wolno się było też spóźnić. Profesor rygorystycznie przestrzegał, szacunku dla wykładowcy. Studenci też się starali szanować jego wymagania.

To były czasy, że czuło się duży respekt przed profesorem i nie kwestionowało się jego decyzji, czy zwyczajów.

Profesor Starnawski twierdził, że niezwykle użytecznym

przedmiotem w badaniach naukowych jest – pudełko do butów. Do rozmiaru pudełka docina się fiszki i alfabetycznie układa bibliografię. Jeśli trafi się na informację, która musi znaleźć się w naszej pracy, łatwo ją dodać, bez konieczności przepisywania całej bibliografii. W czasach komputerów pewnie trudno sobie wyobrazić, że wiele rzeczy robiło się na „piechotę".

Gdy przyszedł czas pisania pracy magisterskiej uparłam się na swój temat „Dzieje teatru zamkowego w Łańcucie". Związane to było z długą historią. Napisałam list do pani kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie, Teresy Żurawskiej, z prośbą o bibliografię, kiedy miałam dziesięć lat. Od tej pory zaczęła się korespondencja z nieocenioną panią Teresą, a moja wiedza na temat rodziny Potockich i dziejów zamku wciąż się powiększała. Pracy magisterskiej na taki temat nikt nie napisał, byłaby to praca pionierska. Pani Teresa mnie zachęcała, – Joasiu przyjeżdżaj, pokój gościnny w zamku na ciebie czeka.

Niestety, nie mogłam znaleźć promotora. Profesorowie, do których się zgłaszałam mówili, że nie są specjalistami, bo to temat z historii teatru, a nie literatury, czy że powinnam się specjalizować w jednej epoce, a nie pisać pracę przekrojową. Po którejś odmowie siedziałam zmartwiona na korytarzu i widzę biegnącego przez korytarz profesora Starnawskiego, z ręcznikiem i mydełkiem w ręku. – A ty dziecko, masz już promotora? – dźwięcznie zapytał. – Opowiedziałam więc mu o

mojej przygodzie z Łańcutem i podzieliłam się rozterkami. Zaprosił mnie do gabinetu. – To teraz już masz promotora – oznajmił. Profesor uważał, że jeśli student ma jasno określone zainteresowania, nie należy ich ograniczać, a wręcz przeciwnie, rozwijać.

Nie myślałam wtedy, że to będzie początek przygody naukowej, i że zwiążę się z Katedrą Literatury Staropolskiej na długi czas. Przed obroną pracy magisterskiej powiedział, żebym się nie denerwowała, bo to ja jestem najwiekszą specjalistką w tym temacie. Następnego dnia po obronie, profesor zaprosił mnie do swojego gabinetu o wczesnorannej porze, wyjął stertę prac magisterskich i doktorskich, posadził mnie przy biurku w swoim gabinecie i polecił, żebym się zastanowiła nad tematem doktoratu. Byłam zaskoczona, o doktoracie nie myślałam. Zaproponował mi też asystenturę w jego Katedrze, jak się znajdzie etat. Znalazł się po roku i zaczęłam pracować w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

Profesor miał zwyczaj zapisywania różnych instrukcji na skrawkach papieru, odwrocie biletów tramwajowych, tylnej stronie maszynopisu, gdzie czcionka przebijała na drugą stronę. Uważał, że szkoda lasów, że papier trzeba oszczędzać. Teraz łapię się na tym, że też tak robię, wykorzystuję każdą wolną część papieru, na robienie notatek.

Nie marnował też czasu, zawsze coś czytał, albo notował. Nawet w kolejce do życzeń ślubnych czytał poezję Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

Kiedyś przyszłam do niego z listem Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego – literata i ministra wojny z okresu Powstania Listopadowego, do mojej prapraprababci Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze Pawle Sokołowskim. List ten był w zbiorach rodzinnych. Profesor sprawdził w Nowym Korbucie i w Estreicherze, że taki rękopis nie jest skatalogowany. Potem skonsultował się z grafologiem, czy podpis jest oryginalny. Był oryginalny. Dostałam więc zadanie napisać artykuł na temat tego rękopisu. Miałam sprawdzić daty urodzin i śmierci wszystkich osób wymienionych w liście i napisać charakterystykę tych osób. Jeździłam po parafiach, sprawdzałam. Miałam motywację rodzinną, a jednocześnie uczyłam się warsztatu naukowego w opracowaniu dokumentu epistolograficznego. Wysłałam ten artykuł i kopię listu do potomków Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego w Montrealu. Ucieszyli się, powiedzieli, że nie mają z swoich zbiorach ani oryginału, ani kopii autografu słynnego przodka.

Profesor Starnawski wysyłał mnie na różne konferencje naukowe, nawet jak nie miałam przygotowanego referatu, żebym uczyła się słuchając najlepszych. Tak poznałam słynnych profesorów Aleksandra Gieysztora, Janusza Tazbira czy Tadeusza

Ulewicza.

Pamiętam wizytę na naszym uniwersytecie profesora Bernharda Kytzlera z Berlina. Był on bardzo znanym na świecie specjalistą od literatury klasycznej, a do tego poliglotą. Ja dostałam zadanie, aby się nim zajmować, odebrać z lotniska i zapewnić program w ciągu trzech dni. Pokazałam mu Łódź. Profesor Kytzler był bardzo dociekliwy prosił, żebym mu tłumaczyła nazwy ulic, np. co to był Manifest PKWN, czy co oznacza data 22 lipca. Jak się chciałam poddać, ze względu na braki w słownictwie niemieckim, profesor nie odpuszczał, pytał się w inny sposób, korzystając z dużej gamy skojarzeń. Miał niezwykłą umiejętność dociekania do sedna.

Aby zapewnić atrakcje profesorowi Kytzlerowi, wymyśliłam wycieczkę do Nieborowa. Pojechaliśmy samochodem z moim tatą. Tata, konstruktor maszyn włókienniczych, uczył się języka chińskiego. Jeździł wtedy do Chin, aby w Azji wprowadzać w życie swoje wynalazki. Wiedząc, że gość zna różne języki, w tym chiński, powiedział kilka zdań po chińsku. Profesor odpowiedział płynnym chińskim. Zauważył, że tata mówi po kantońsku.

Po czasie prof, Starnawski powiedział mi, że przydzielił mi zadanie zajmowania się gościem z zagranicy, abym poznała ludzi ze świata, ćwiczyła język i poradziła sobie sama w kontakcie z ciekawym naukowcem.

W pamięci mam wizytę w ośrodku, gdzie prof. Starnawski odbywał rekonwalescencję po przebytym zawale. Profesor mówił wtedy, że czuje się jak rozbita szklanka. Na szczęście żył jeszcze wiele, wiele lat. Miał w sobie niebywałą siłę.

O profesorze Jerzym Starnawskim można by długo opowiadać. Był niezwykle ważną postacią w świecie nauki, ale przede wszystkim był wielkim człowiekiem, którego się nie zapomni.